

Monika Hardygóra

MOJE WSPOMNIENIA

Poproszono mnie o napisanie kilku stron wspomnień do Księgi Pamiątkowej. Nie ukrywam, że poczułam się nieco zażenowana tym zaszczytem. Nie należałam ani do jakiegoś specjalnego rocznika studentów, ani do tych najlepszych. Trudno mi powiedzieć abym czymkolwiek wyróżniła się w dużej grupie studiujących w tym czasie na naszym Wydziale. Studia rozpoczęłam w 1969 roku, tj. z drugim rocznikiem istniejącego już wtedy Wydziału Górniczego. Wspomnienia moje z racji tego, że nie byłam zbyt aktywną studentką a raczej mało widoczną na Wydziale, dotyczyć będą przede wszystkim moich własnych odczuć i bardzo osobistych refleksji z czasów studenckich. Nie będzie to żadna kronika wydarzeń lecz opis tego, co dla mnie było w tym czasie najważniejsze, czym żyłam i co mi z tych lat pozostało.

Rozpaczam pisanie tych wspomnień w chwili, gdy właśnie mija 24 lata od momentu, w którym zdecydowałam się zdawać na Wydział Górniczy Politechniki Wrocławskiej. Tak jak teraz był maj i szykowałam się do matury. Właśnie w tym momencie zmieniałam zdanie, bowiem przez całe liceum wybierałam się na fizykę uniwersytecką, a tu nagły przebłysk i górnictwo. Nie była to moja decyzja indywidualna lecz ściśle biorąc decyzja podjęta w duecie z Basią Salkowską, obecnie Rajkowską, prymuską naszego liceum i moją przyjaciółką z jednej ławki. Ona wybierała się na anglistykę, ja na fizykę, a tu trach, przed samymi maturami oznajmiłyśmy, że idziemy razem na wydział górniczy. Trochę było zamieszania w szkole i w domu. Wiadomo jednak, że jak w wieku siedemnastu lat podejmuje się jakąś decyzję, to nie dopuści się nikogo do głosu i jest się przekonany, że to decyzja jedyna i najślusniejsza. Tak też było z nami. Argumentów żadnych nie chciałyśmy słuchać. Utwierdzałyśmy się w przekonaniu, że mamy autentyczne zamiłowanie do górnictwa i koniec. Swoją drogą to nasza wiedza o górnictwie zaczynała się i kończyła na lekturze książek Morcinka, nic poza tym. Dzięki wyrozumiałości naszych rodzin nie zrobiono z nas na siłę lekarzy czy prawników ale pozwolono nam zdawać na to co chciałyśmy. Pierwszy nasz kontakt z uczelnią to egzaminy wstępne. Przyjechałyśmy z Legnicy, naszego rodzinnego miasta, dzień wcześniej do akademika. Tu nasze pierwsze zdziwienie. Zastałyśmy atmosferę nerwową i pełną nauki. Dziewczyny poobkładane książkami i zeszytami po prostu "ryją", a my nic. Oprócz słowniczków angielskich nie przywiozłyśmy ani kawałka słowa pisanego, no bo i po co ? Przecież wszystko mamy w głowach. Barbarę atmosfera akademika zdenerwowała, więc aby i mnie to się nie udzieliło postanowiłyśmy wieczorem pójść do opery. Trochę rozrywki się przyda, a unikniemy nerwowej giełdy w akademiku. Pomysł był świetny. Baron Cygański bardzo nam się podobał. Po powrocie poszłyśmy zaraz spać. Basia miała trochę większego stracha niż ja, bo startowanie z pozycji prymusa, tak zasłużonej i dumnej ze swych tradycji szkoły, zobowiązuje. Ja w roli zawsze tej drugiej miałam większy

komfort psychiczny i większy luz. Ale już w pierwszym dniu okazało się, że nie taki diabeł straszny. Wróciliśmy do akademika spokojnie, po dobrze zdanej matematyce i fizyce. Praktycznie to już było pewne, że się dostałam. Po egzaminie z fizyki, pani z komisji, potem okazało się, że była to doc. Fulińska, agitowała mnie na Wydział Podstawowych Problemów Techniki, jakoby ciekawszy. Ale na tym etapie ja już tak byłam pewna swoich zamiłowań do górnictwa, że oczywiście odmówiłam. Na drugi dzień był jeszcze angielski. Basia napisała go w 15 minut. Oddając pracę pan z komisji nie zrozumiał, że ona już skończyła. Namawiał ją więc, aby tak szybko nie poddawała się, jeszcze trochę pomyślała i może coś dopisze. Po wyjaśnieniu Basi był bardzo zażenowany. No a ja, jak zwykle z języków słabsza, wykorzystałam przysługujący mi czas do końca. Jak się okazało, też wypadłam dobrze. Trzeci dzień naszego pobytu to tzw. rozmowa kwalifikacyjna z władzami Wydziału. Tu po raz pierwszy spotkanie z dziekanami, doc. Z. Gergowiczem i doc. M. Jokielem. Przyjęli nas serdecznie, rozmowa była miła. Podczas tego spotkania poznałyśmy też resztę studentek. Dziewczyny pierwsze rzucały się w oczy wśród tyłu chłopców. Było nas dziesięć na pierwszym roku. Chociaż wyników ostatecznych nam jeszcze nie podano, to byłam pewna, że już zostałyśmy studentkami. Bezpośrednio po egzaminach pojechaliśmy na wczasy do Ustki. Tam otrzymałam od mamy wiadomość, że przyjęto mnie. Basia nie dostała żadnej informacji, więc kiedy zbliżał się nasz powrót do domu panikowała coraz bardziej. Skończyło się na tym, że wracając nocnym pociągami do Legnicy i przesiadając się we Wrocławiu, o piątej rano pobiegłyśmy do NOT-u, wiedząc że to siedziba Wydziału, aby sprawdzić listę przyjętych. Dobijałyśmy się tak skutecznie aż portier otworzył nam te ciężkie wrota. Jak szalone dopadłyśmy tablicy przed dziekanatem. No i oczywiście od razu ulga. Basia była na liście, a zawiadomienie do jej domu nigdy nie dotarło. Byłyśmy więc dumnymi studentkami. Wprawdzie jeszcze bez indeksu, ciągle z legitymacją szkolną, bo niepełnoletnie ale według nas bardzo dorosłe. Już za kilkanaście dni, w sierpniu, przyszło nam przeżyć naszą próbę dorosłości - praktykę robotniczą.

Zaczynałyśmy studia w 1969 roku, po Studenckim Marcu '68. Wtedy to władza postanowiła dać nauczki studentom i nauczyć ich szacunku do pracy fizycznej. Ze skierowaniami pojechaliśmy do stacji kolejowej Jasiona pomiędzy Opolem a Zdieszowicami. Odebrano nas z tej stacji i zawieziono do PGR-u Zakrzów. Było nas dziesięć górniczek, pięć przyszłych studentek Inżynierii Sanitarnej i opiekunka, asystentka z tego wydziału. Jak się wkrótce okazało dziewczyny wszystkie miastowe. Górniczki to dwie legniczanki, jedna z Jeleniej Góry, reszta z Wrocławia. Wsi na oczy nie widziały a już o robotach w polu nie miały najmniejszego pojęcia. A tu dyrektor od początku nie ukrywa, że bardzo liczy na naszą pomoc przy żniwach. Praca po dziesięć godzin dziennie, od 6 rano do 18 z przerwą obiadową. Nie wiem czy były wtedy takie wytyczne, ale dla nas nastaly dni straszne. Praca widłami przez tyle godzin Warunki socjalne - żadne. Jeden pokój w ruderze w którym wszystkie spałyśmy i jedna

pompa na dziedzińcu PGR-u, pod którą myłyśmy się. Do tego na obiady ciągle te śląskie kluski. Może to dziwne, że tak rozpisuję się nad tą praktyką lecz moje wspomnienia z tego koszmaru są tak żywe, jakby to było wczoraj. Takie wejście w dorosłość bardzo mi się utrwaliło. Pierwsze dni były tragiczne; o piątej pobudka, jazda traktorem w pole, śpimy w tej telepiącej się po dziurach przyczepie, potem zarządca zgania nas do roboty. A robiłyśmy dosłownie wszystko. Przez kilka dni przewracałyśmy widłami peluszkę. Ten groszek, nie zebrany potem na czas, zgnił ku naszej rozpaczycy jeszcze przed naszym wyjazdem. Zostały nam wspomnienia zakrwawionych od wideł rąk. I po co? Potem były prawdziwe żniwa, praca na stertach, na koniec pielenie kapusty. To była praca na akord, jedynie Ela Pietraszewska jakoś nadażała za tempem kobiet wiejskich. Reszta z pęcherzami na rękach, wręcz płacząc, przewracała się między zagonami. Nareszcie przyszedł upragniony dzień zakończenia i wypłaty. Otrzymałyśmy różnie, od 300 do 800 zł. Ja pamiętam jak dziś, dostałam 502 zł. Po przyjeździe do domu powiedziałam babci, że oprawię tą pięćsetkę w ramki i nigdy jej nie ruszę na pamiątkę tego sponiewierania. Praktyka ta pokazała nam jak pracują PGR-y. Może nie wszystkie były wtedy takie złe, my jednak utwierdziłyśmy się w przekonaniu, że wszędzie kradną, wszędzie jest marnotrawstwo i wszędzie strasznie piją. Pod koniec praktyki, jak już robotnicy się z nami oswoili, to wysyłali nas do sklepu po wódkę, deklarując za to pomoc w pracach. Im wódki w ciągu dnia w sklepie wiejskim nie sprzedawano a my byłyśmy obce. Sama korzystałam z takich dobrodziejstw, kiedy przyszło nam ładować ciągniki workami z pszenicą po 50 kg. Miałyśmy to brać we dwie.

We wrześniu wyjechałam na wczasy do Zakopanego aby trochę powłóczyć się po ulubionych górach. Tu na Gubałówce na "fivach" spotkałam rozbawioną grupę studentów. Obserwowałam ich z boku zaciekawiona. Wkrótce okazało się, że byli to studenci mojego Wydziału z panią doc. T. Górecką na praktyce geologicznej. Ten pierwszy kontakt z naszymi studentami utwierdził mnie w przekonaniu, że wybór wydziału był naprawdę trafny. A potem przyszedł październik i pierwsze zajęcia. Był to swego rodzaju zimny prysznic na nas. We mnie szczególny strach wzbudzał doc. K. Dyba wraz ze swoim asystentem mgr Łapińskim, no i te całe "kreski". Przekonałam się, że z wyobraźnią przestrzenną u mnie raczej kiepsko. Zaczęły się żmudne godziny pracy w akademiku. Pan Łapiński na ćwiczeniach tak strasznie się na nas denerwował; twierdził, że robimy na złość nie chcąc czegoś narysować. Jednak my, w każdym razie większość z nas, po prostu naprawdę tego nie widziało. Z rysunkiem też nie było tak cudownie. Długie godziny spędzone nad rysunkami przy kiepskim oświetleniu pokoju w akademiku zaowocowały tym, że już po pierwszym semestrze studiów zaczęłam nosić okulary, towarzyszą mi do dzisiaj. Rysunek prowadzony przez doc. Lawrowskiego był dobry. Z zachwytem podziwiałam jego rysunki. Niestety z odwzorowaniem ich w moim zeszycie było dużo gorzej. A ogólnie pierwszy semestr przeszedł bardzo pracowicie.

Dwie imprezy rozjaśniły trochę szarą codzienność. Były to otrzęsiny i gotowość barburkowa. Całe przygotowania do Barbórki były bardzo uroczyste. Nas studentów pierwszego roku zmobilizowano tylko do prac pomocniczych. Nie mieliśmy być jeszcze dopuszczeni do uczestnictwa w imprezach. Pamiętam godziny wieczorne spędzone na malowaniu lampionów, które potem zawisły w korytarzach NOT-u oraz przygotowywanie całej scenerii. Atmosferę święta wyczuwało się w całym budynku i na Wydziale. Chociaż my nie uczestniczyliśmy w imprezach, to przy tych pracach pomocniczych wchłanialiśmy atmosferę wielkiego wydarzenia. Tradycje górnicze przyswajaliśmy sobie podczas pięknych wykładów doc. S. Sobolewskiego z zarysu górnictwa. Potrafił on zarazić nas tymi tradycjami i wciągnąć w rzesze braci górniczej.

Pierwszą sesję wspominam dobrze, egzaminy z chemii i matematyki przeszły bez problemów, nawet zupełnie dobrze. Ale za największy sukces tej sesji uważam egzamin z "kresek" u doc. K. Dyby. Zdałam pozytywnie w pierwszym terminie. Pomimo, że w latach późniejszych zdawałam wiele egzaminów na piątki, chyba ta trójka u doc. Dyby była bardziej wartościowa niż tamte piątki. Ta pierwsza sesja zaliczona w sumie dobrze i to w pierwszym terminie była tak dla nas ważna. Basia osiągnęła takie same rezultaty. Zadowolone wyjechałyśmy na odpoczynek do domu.

Drugi semestr przeszedł też raczej pracowicie. Pojawiły się świetne wykłady doc. Jokiela z mechaniki teoretycznej zakończone trudnym egzaminem, który przetrzebił nasze szeregi i dostarczył sporo nerwówki. Po pierwszym roku pojechałyśmy na praktykę dołową. Dziewczęta do Kopalni Thorez, chłopcy natomiast do Kopalni Victoria. Jadąc z Basią autostopem z Legnicy do Wałbrzycha nawet nam przez myśl nie przeszło, że ta praktyka okaże się tak ważna w skutkach na całe Basi życie. Pierwszego dnia przyjęto w kopalni naszą ósemkę bardzo miło. Na opiekuna wyznaczono młodego technika górnika, swoją drogą bardzo przystojnego, Mirka Rajkowskiego. Opiekun ów zajął się nami tak serdecznie, że wkrótce i popołudnia zaczął spędzać w naszym internacie ucząc gry w brydża, potem wprowadzając nas w świat lokali Wałbrzycha. No cóż, szybko kilka z nas zakochało się w nim, ale tu wygrała Basia. Opiekun w następnym roku został jej mężem a w kilka lat później studentem naszego Wydziału. Teraz z dużymi sukcesami oboje Rajkowscy rozwijają górnictwo węglowe w Południowej Australii. Co by o tej praktyce nie mówić zakończyła się sukcesem. Miałyśmy okazję na pierwsze zjazdy pod ziemię i było to dla nas wielkim przeżyciem. Do dziś pamiętam starego górnika w niskim pokładzie, w pozycji półleżącej jak mu się szeroko oczy otworzyły, gdy inżynier z którym była na dole przedstawiał mnie jako studentkę wydziału górniczego, pierwsze zdziwienie - baba pod ziemią, ale potem chyba uznał, że to znamię czasu i trzeba się z tym pogodzić. Podał mi więc pojemnik z tabaką. Niestety, po jej wciągnięciu długo nie umiałam opanować kichania co wywołało ogromną radość górniczej braci. A tak byłam dumna z tych wizyt na dole...

Drugi rok zaczął się pod wrażeniem przygotowywanej Barbórki. Nie przypuszczałam wtedy,

że ten drugi rok będzie tak obfitował w różne wydarzenia, dla mnie nie zawsze szczęśliwe. Teraz my, tzn. drugi rok miał dostąpić zaszczytu uczestnictwa we wszystkich obchodach, nas miano pasować na górników. Zaczęły się więc próby śpiewania pieśni górniczych. Do akademika przychodziły studentki ze starszych lat i uczyły nas. Nie do pomyślenia był fakt, że możemy brać udział w Czombrze bez znajomości słów i bez uprzednich solidnych prób pieśni. Głośno stało się też o Chórze do którego rozpoczęto właśnie zapisy. Moje dwie przyjaciółki stanęły przed obliczem pana Piotra Ferensowicza zgłaszając swoją gotowość śpiewania. Przyjęto tylko naszych chłopców, bo Chór w tej fazie był dziewczęco męski więc ani Basia ani Grażyna za dziewczynki ze szkoły podstawowej nie mogły już uchodzić. Pamiętam, że szczególnie Basia była tym faktem bardzo zawiedziona. Ja ponieważ kończyłam szkołę muzyczną wiedziałam jaką to ciężką pracą jest uczestnictwo w chórze, nigdy się do niego nie rwałam. Zostało mi jedynie zamiłowanie do chóralistyki i muzyki w ogóle. Dlatego ciągle jestem entuzjastką naszego Chóru i biorę udział we wszystkich koncertach jeżeli tylko jestem na miejscu.

Nareszcie przyszła nasza upragniona Barbórka. Bardzo to w akademiku przeżywałyśmy. Był rok 1970 i była to po prostu nasza Barbórka. Jak się potem okazało miałyśmy szczęście uczestniczyć, czy rozpoczynać nasze górnicze tradycje od najlepszych wzorców. Była to bardzo elegancka, jedna z najokazalszych Barbórek na Wydziale. Najpierw Tablica Piwna i Czomber Babski w Piwnicy Świdnickiej, pięknie udekorowanej, stwarzającej niepowtarzalny nastrój swoimi dostojnymi, zabytkowymi wnętrzami. Mundury górnicze licznych gości, śpiewy Tablicy Piwnej dochodziły naszych uszu. Większości osób jeszcze nie znałyśmy, ale to nam nie przeszkadzało bawić się bardzo dobrze. A na drugi dzień był bal w sali NOT-u tak odświętnej i nastrojowej; obecnie jest tam po prostu sklep. To także znamię naszych czasów. Piękne dekoracje, my w najlepszych kreacjach na jakie mogłyśmy sobie pozwolić. Grono dostojnych gości z min. F. Jopkiem, rektorem prof. T. Porębskim i owacyjnie powitany, poprzednim rektorem prof. Z. Szparkowskim. Żywy był jeszcze wśród studentów Marzec' 68, stąd ta owacja była tylko reminiscencją tych wydarzeń. Bal prowadził pan Wojciech Dzeduszycki, a Lis Major - dr Janusz Zipser, najlepszy z najlepszych, wypadł wyjątkowo wspaniale. To nic, że nie byłam wybrana do Skoku, wszyscy nie mogli, kiedy było nas 100 osób na roku. Wszyscy bardzo mocno przeżywali pasowanie kilkorga z nas. A potem już był polonez i rozpoczęcie balu. Po szaleństwach uroczystości barbórkowych musieliśmy szybko wrócić na ziemię, zaczął się bowiem Grudzień '70. Te wydarzenia wstrząsnęły mną bardzo. W akademiku czekało się na wiadomości z wielką niecierpliwością, słuchało się obcych radiostacji. Powiało strachem i lękiem. Pełniliśmy dyżury nocne, czekając na jakieś informacje. Nic do końca nie było wiadome, aż tu nastał Gierek; miało się wszystko unormować, a jedyne co dało się zauważyć, to to, że sklepy zapełniły się towarami no i otwarto granice do krajów sąsiednich. Dla nas styczeń i luty przyniósł jedną z trudniejszych sesji; fizyka u dr Wnuczaka, mechanika

u doc. Jokiela i matematyka u dr Wojtasa. Właśnie na fizyce i na mechanice przetrzebił się nasz rok. Z żalem musieliśmy pożegnać następną grupę naszych koleżanek i kolegów. Część z nich ukończyła Wydział rok lub dwa po nas, część niestety pożegnała się z nim bezpowrotnie. Takie były czasy, wtedy urlop dziekański traktowało się jako wyraźną porażkę. Dla mnie sesja okazała się wyjątkowo pomyślna. Przy zdanej fizyce na piątkę, co też zaliczam do moich większych sukcesów na studiach, przy dobrej mechanice i matematyce udało mi się zdobyć nagrodę rektorską. Z pewnością największą przyjemność sprawiła ona mojej mamie i babci. Na drugim roku pojawiły się przedmioty geologiczne. Przypadły one nam do gustu, prawdziwie je lubiliśmy. Nasza sympatia do geologów trwała do końca studiów. Początkowo wszystkie trzy chciałyśmy pisać prace dyplomowe w Zakładzie Geologii. Wykłady z panią doc. Teresą Górecką, dr Jarką Lorenz czy panią Basią Teisseyre ceniłyśmy sobie bardzo. Może to częściowo ze względu na babską solidarność, bo kobiety na Górnicy były w mniejszości, a może po prostu te wykłady autentycznie nas wciągnęły i nam odpowiadały. Potem był semestr, który dla mnie okazał się bardzo nieudany, gdyż wylądowałam na miesiąc w szpitalu na operacji uszu. I tutaj przeżywałam prawdziwy strach, nie przed tym, że wylecę ze studiów ale przed rozstaniem się z moimi przyjaciółkami. Wtedy byliśmy już we trzy. Do Basi i do mnie dołączyła Małgorzata Grażyna Smołucha, przez nas nazywana Grażyną lub Aniołkiem. Już na pierwszym roku zaprzyjaźniłyśmy się ale od drugiego roku zaczęła z nami mieszkać w akademiku, początkowo "na waleta", a potem dzięki interwencji pani doc. Góreckiej, naszego prodziekana, już jako oficjalny mieszkaniec. Wracając do moich perypetii czwartego semestru, to kiedy wylądowałam w szpitalu i po kilku tygodniach nieobecności pan dziekan Jokieli wywiesił mnie na liście skreślonych za nieobecności, to moje przyjaciółki poleciały przerażone do doc. Góreckiej znowu po ratunek. Jej interwencja była na tyle skuteczna, że dziekan zgodził się mnie przyjąć na rok lecz w przypadku, gdy odrobnię zaległe laborki z fizyki. A to nie było takie proste. Asystent z którym miałyśmy ćwiczenia ani słyszeć nie chciał o żadnych odrabianiach. No to Basia, która zazwyczaj była najodważniejsza i najbardziej zdecydowana, a do tego była starostą roku, poszła do dr Wnuczaka na rozmowę. I tu okazało się, że piątka z poprzedniego semestru przydała się. Dr Wnuczak pamiętał mnie i zgodził się sam przeprowadzić ze mną te laborki. Wyszłam więc w umówionym dniu na przepustkę i odrobiłam w jednym dniu cztery ćwiczenia. Pan dr Wnuczak poświęcił mi całe popołudnie, cierpliwie pomagając przy kolejnych ćwiczeniach. Dzięki temu uratowałam ten semestr, nie straciłam roku, przede wszystkim jednak nie rozstałam się z moimi przyjaciółkami.

Po drugim roku mieliśmy jedyne długie wakacje, bo coś przy kolejnych zmianach programów nie zagrało, zapomniano dać nam geodezję, a więc i na praktykę geodezyjną nie mogliśmy się wybrać. Za to po czwartym roku odrobiono to, mieliśmy więc 9 tygodni praktyki; 6 dyplomowej i 3 geodezyjnej. Pociuszające jest to, że nie tylko nam jako dydaktykom zdarzają się teraz pewne błędy w programach.

Trzeci rok rozpoczął się podziałem na sekcję. Grażyna, Basia i ja wybrałyśmy skalnictwo, a grupy tak dziwnie podzieliły się, że nasza, jak zwykle nierozłączna trójka oraz Wojtek Ciężkowski, Andrzej Kwaśny i Jasiu Piech tworzyliśmy najmniejszą grupę na Wydziale. Druga część sekcji była dwukrotnie większa. Dopiero po roku w dziekanacie połapano się, dodając nam kilka osób. Grupa była bardzo dobra i miło wspominałam zajęcia w takich rodzinnych warunkach. W ostatnich latach mamy prawie tylko takie małe grupy studentów, w naszych czasach był to wyjątek. Na potwierdzenie tego, że grupa była naprawdę dobra można podać fakt, że na trzecim roku wszyscy dostaliśmy nagrodę rektorską. Zresztą i po studiach, moim zdaniem sprawdziliśmy się. Na trzy pierwsze habilitacje absolwentów Wydziału Górniczego, dwie są z naszej grupy, Wojtka Ciężkowskiego i moja. Andrzej Kwaśny został błyskawicznie dyrektorem kamieniołomu w Wiśniówce, a Basia po przejściu wszystkich szczebelków kariery w kopalni węgla brunatnego w australijskim buszu objęła jedno z czołowych stanowisk w Zarządzie Zjednoczenia Energetycznego w Australii Południowej. Ale nie samą nauką człowiek żyje na studiach. Dla mnie oddalonej jednak od domu bardzo istotne były sprawy bytowe. Stąd znaczna część mojej aktywności podczas studiów koncentrowała się na sprawach socjalnych, a więc w akademiku i w stołówkach studenckich. W akademiku byłam kilka kadencji w radzie mieszkańców. Pierwsze wybory do tej rady bardzo mocno przeżywałam. Był to mój pierwszy start w wyborach do jakiegokolwiek gremium. Nie mogłam wtedy sobie wyobrazić, że dwadzieścia lat później wystartuję znowu w wyborach, tym razem na dyrektora Instytutu Górnictwa, z pozycji pierwszego absolwenta naszego Wydziału na to stanowisko. Wracając do działania w akademiku, to pamiętam doskonale imprezy organizowane przez radę mieszkańców Parawanowca. Wieczory piosenek rajdowych należały do najpopularniejszych. Sporą część mojej działalności poświęciłam komitetom stołówkowym, najpierw stołówki w T-2, potem nowej stołówki na Placu Grunwaldzkim, gdzie zakończyłam swoją działalność jako przewodnicząca komitetu stołówkowego już po dyplomie. Do działalności stołówkowej wciągnęła mnie Janka Telicka, która była o dwa lata wyżej na naszym Wydziale i z którą prawdziwie się zaprzyjaźniłam. Staram się te kontakty utrzymywać do dzisiaj. Również bliższe kontakty utrzymywałam z Jolą Ludwicką, z którą razem kończyłam kurs grotolazów i która towarzyszyła mi w większości górskich wypadów w tym czasie. Zresztą Jola i Wojtek Ciężkowski zasłużyli się w organizacji rajdów górniczych, które wyganiały dwa razy do roku z Wrocławia w góry całą brać Wydziału łącznie z pracownikami, na których czele kroczył doc. Jokieli i jego rodzina. Skąd wtedy mogłam przypuszczać, że te małe chłopaczki maszerujące u boku taty będą kiedyś moimi studentami. Obaj synowie doc. Jokiela zaszczycili nasz Wydział. Do ważniejszych atrakcji w czasie studiów zaliczam wycieczkę do Freibergu. Była to dla wielu osób z mego roku pierwsza wyprawa zagraniczna. Moje pierwsze zetknięcie z tym ślicznym zabytkowym miasteczkiem górniczym bardzo miło wspominałam. Przyjmował nas serdecznie prof. Klaus Strzodka i z doskonałą polszczyzną oprowadzał po tajemnicach miasta.

Zachwycaliśmy się wtedy szczególnie muzeum mineralogicznym i katedrą. Nawet mi przez myśl wtedy nie przeszło, że wiele lat później to miasto będzie mi tak bliskie, że tu przyjdzie mi bronić moją pracę habilitacyjną w Akademii Górniczej we Freibergu, a jednym z recenzentów pracy będzie właśnie prof. Strzodka.

Wspominając wycieczki, to muszę napisać o wyprawie całej sekcji skalnej do Kombinatu Kujawy i do fabryki materiałów wybuchowych w Pionkach. Na te obie wyprawy zabrał nas dr Jan Gliński, obecnie profesor, który miał z nami wykłady z górnictwa, techniki strzelniczej i projektowania kopalń. Właściwie większość zajęć na trzecim i czwartym roku studiów wypełnił nam dr Gliński i doc. Sobolewski. Szczególnie te ostatnie były ilustrowane wspianymi rysunkami kruszarek, których ja mimo najlepszych chęci nie umiałam powtórzyć w swoim zeszycie.

Od trzeciego roku zaczęliśmy również bliżej współpracować z pracownikami Wydziału w ramach prac zleconych. Pierwsze nasze prace były w Zakładzie Geologii, gdzie przygotowaliśmy okazy do gablot wzbogacających wystrój korytarzy w Nocie. Potem na długi okres związałyśmy się, jak zwykle wszystkie trzy razem, z Zakładem Projektowania Kopalń doc. S. Wiśniewskiego, a szczególnie z panią mgr Krystyną Pasiek. Długie godziny wieczorne spędzałyśmy nad mapami odkrywek Józwin i Pątnów. Ta praca, oprócz tego, że była znaczną pomocą w naszych skromnych funduszach, dała nam bardzo dużo. Pierwsze prawdziwe projekty, partnerskie dyskusje z pracownikami zakładu i pierwszy kontakt z pracą naukową tak mocno mnie wciągnęły, że po studiach wybrałam właśnie taki charakter pracy. Również obóz naukowy organizowany przez Koło Naukowe Studentów, zastępujący normalną praktykę po trzecim roku, prowadzony przez mgr Jerzego Malewskiego był bardzo ciekawy. Były to prawdziwie przydatne pomiary niezawodności prowadzone na dwóch zmianach w kamieniołomie Wilcza Góra. Szkoda, że teraz udział młodzieży akademickiej jest prawie zerowy w badaniach dla przemysłu. My ceniłyśmy sobie właśnie tę działalność w czasie studiów najbardziej.

Ciekawym przeżyciem była również praktyka dyplomowa w Wiśniówce k. Kielc. A wracając już do sprawy dyplomu, to jak wspomniałam, wszystkie trzy: Basia, Grażyna i ja chciałyśmy go wykonywać w Zakładzie Geologii. Tak się jednak złożyło, że tylko dwie prace były do wzięcia w tym zakładzie. Więc mnie na otarcie łez zaproponowały moje przyjaciółki pracę z transportu. Miała ona tę zaletę, że praktyka dyplomowa będzie właśnie w Wiśniówce, razem z Basią. Ja przystałam na ten kompromis i podjęłam temat pracy u prof. T. Żura, którego wykłady bardzo nam odpowiadały z jednym jednak zastrzeżeniem. Odbywały się zawsze o 7.30, o wiele za wcześnie jak dla nas. Nie przypuszczałam nawet, że ten skądinąd tak przypadkowy wybór opiekuna pracy dyplomowej okaże się tak znakomity dla mojej życiowej drogi. U prof. Tadeusza Żura zrobiłam pracę dyplomową, doktorską i na koniec habilitacyjną. Do dzisiaj pracuję w zakładzie kierowanym przez Profesora i jestem z tego bardzo zadowolona. Na drugi rok będę obchodzić dwudziestolecie mojej pracy, cały czas w tym

samym zakładzie. Wracając do praktyki dyplomowej, to przed samym wyjazdem okazało się, że prowadzenie tematu Barbary o eksploatacji selektywnej, ku jej przerażeniu, przejmuje dr Gliński. Właściwie z całych naszych planów została tylko wspólna praktyka w Wiśniówce. Jedyne Grażyna będzie pisała pracę z geologii. Barbara szybko przekonała się do współpracy z dr Glińskim i zakończyło się to zupełnie dobrą pracą dyplomową. Na miejscu w Kieleckim okazało się, że tematy prac zgłoszone wprawdzie przez kamieniołomy są raczej nieaktualne. Jedyne Andrzej Kwaśny miał szczęście. Jego temat prowadzony przez prof. J. Sajkiewicza był dla nich ciekawy i Andrzej zrobił świetną pracę dyplomową. Zresztą po dyplomie przyjął się tam do pracy i szybko został dyrektorem technicznym tego zakładu. My z Basią podeszliśmy może nieco mniej ambitnie, szybko zebraliśmy co się dało do pracy dyplomowej i poświęciliśmy się całkowicie turystycznemu zwiedzaniu Ziemi Kieleckiej. A że obie miałyśmy w tych stronach rodzinę przyjmującą chętnie biednych zaków, pobyt okazał się wyjątkowo miły. Po praktyce dyplomowej czekała na nas jeszcze jedna zaległa praktyka geodezyjna. Ze względu na mój wyjazd na wycieczkę almaturowską do Hiszpanii, odbywałam tą praktykę ze studentami pierwszego roku w Strzelinie. Aż wierzyć się dzisiaj nie chce ile to godzin spędzaliśmy wtedy na obliczeniach na sławetnych "kręciołkach", maszynkach liczących poruszanych korbką, z dzwoneczkami. Piąty rok zleciał błyskawicznie. Dla mnie oznaczał wyprowadzenie się z akademika, gdyż wraz z mężem przeniosłam się na prywatkę. Basia też większość czasu spędzała u męża w Kątach Wrocławskich. Tylko Grażyna do końca wytrwała w akademiku. Zresztą pracę dyplomową zrobiła z nas najlepszą u pani Jarki Lorenz ale egzaminu dyplomowego zdawać tak jak i my nie chciała. Skoro nas na czwórkę zwolniono, to po co się na więcej było wysilać. Tak tak, tylko Wojtkowi Ciężkowskiemu starczyło zapału aby zdawać na piątkę. My przyjęliśmy z zadowoleniem proponowane oceny. No cóż, dyplomy kojarzyły się z rozstaniem. Basia miała stypendium z WZEK-u i powędrowała do żwirowni w Mietkowie, gdzie wiecznie pijany kierownik szybko pozbawił ją zamiłowania do górnictwa. Trochę lepiej było, gdy przeniosła się do pracy w dyrekcji we Wrocławiu. W końcu zniechęcona całym tym przedsiębiorstwem rozpoczęła pracę na własny rachunek produkując gipsowe figurki. Była więc pierwszym buisnesmenem w naszym gronie i to już w końcówce lat siedemdziesiątych. Prawdziwe sukcesy w górnictwie osiągnęła praktycznie dopiero na ziemi australijskiej. Przeszła całą karierę górniczą do dyrektora technicznego kopalni, ostatnio zasiadając już na wysokich pozycjach w Zarządzie Zjednoczenia Energetyki. Grażyna nie chciała skorzystać z propozycji zostania na uczelni, z zapałem poszła w teren. Wylądowała w Złotoryjskich Kamieniołomach, z pracy tej była zadowolona. Po kilku latach przeniosła się z powrotem do Wrocławia. Ostatnich kilka lat spędziła w Australii na projektowaniu jednej z ciekawszych australijskich kopalń miedzi, uranu, srebra i złota Olympic Dam. W pracach projektowych tej nowoczesnej kopalni brała również udział następną naszą koleżanką z roku Zosia Składzień.

A ja cóż, zostałam na uczelni, wybrałam drogę własną, mnie najlepiej odpowiadającą. Praca tu daje mi ciągle dużo satysfakcji i przyjemności. Szczególnie dydaktyka jest mi bardzo bliska, chociaż niestety nie mam takich zdolności jak doc. Jokiel, nie pamiętam większości z moich studentów. Z trudem przychodzi mi opanowanie ich nazwisk w czasie semestru, chociaż grupy są mało liczne. Mogę to tylko tłumaczyć faktem, że nie mam zwyczaju sprawdzania obecności. O jakości prowadzonych zajęć mogą wyrazić opinię moi studenci i absolwenci. Nie ukrywam, że czasami nachodzą mnie chwile zwątpienia, gdy dwie lub trzy osoby przychodzi na wykład, gdy ja całe popołudnie spędziłam przygotowując go. Ale przy grupach liczących obecnie osiem czy dwanaście osób to jednak jest jeszcze przyzwoity procent. Również staram się podtrzymywać tradycje górnicze w tej malutkiej damskiej społeczności naszego Wydziału. Wspólnie ze studentkami wielokrotnie organizowałam Czomber Babski, teraz pałeczkę przejęła dr G. Paszkowska i robi to doskonale. Praca na uczelni daje większą niezależność niż przemysł i pozwala na realizację własnych planów. Dla mnie bardzo istotne były możliwości odbycia rocznych staży w Niemczech i w Australii oraz liczne kontakty z uczonymi zagranicznymi. Wiele ciekawych wyjazdów zagranicznych, zarówno służbowych jak i prywatnych, zaspokaja moje ogromne zamiłowania do podróżowania, moją od dzieciństwa trwającą fascynację innymi krajami, kulturami czy religiami. Praca na uczelni takie możliwości mi dawała. Z moimi przyjaciółkami miałam stały kontakt. Po studiach pracowałyśmy razem z Basią w Kątach Wrocławskich ucząc w liceum ogólnokształcącym; ona chemii a ja fizyki. Była to dla mnie dobra szkoła dydaktyki, dużo lepsza niż potem kończone jakieś podyplomowe studium pedagogiki szkoły wyższej organizowane w Politechnice. Pomimo, że od ponad dziesięciu lat moje przyjaciółki żyją oddalone o 20 000 km ode mnie, to kontakt jest ciągle bliski. Praktycznie co trzy, cztery lata spotykamy się albo u nich albo u mnie. Takie przyjaźnie jakie zawiązały się na studiach pozostają na całe życie. A my na szczęście pozostajemy ciągle wierni ideałom, które w naszej Alma Mater zaszczepili nam nasi wspaniali mistrzowie i nauczyciele.